



Lucyna Daab

Sygnatura notacji: **N0361**

Data nagrania: **2010 r.**

Miejsce nagrania: **dom świadka, Warszawa, Polska**

Prowadząca/y rozmowę: **Konrad Starczewski**

Czas nagrania: **część I: 58 min, część II: 30 min**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**

część I z II



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Lucyna Daab: Pochodzę z Podlasia, moja rodzina cała mieszkała na Podlasiu. 21 czerwca 1941 roku stukot straszny – NKWD podjechało i wszystkich nas zabrali na ciężarówkę i wywieźli do stacji [niezrozumiałe], i tam na stacji załadowali nas do pociągu towarowego. Bez żadnych wygod w ogóle. Naładowali ludzi pełno. Przeładowany był ten cały wagon. Dołączyli nas w Białymstoku do całego transportu i wieźli. Bez jedzenia, bez wody, bez picia, bez niczego, bez ubikacji. Pamiętam pewne momenty, takie jak, byłam jeszcze mała wtedy, maleńkie dziecko jeszcze, i wieźli nas za tym Białymstokiem do granicy. Wiózł jakiś maszynista, prowadził parowóz, i jak przyjechał 50 km, to 100 cofał się do tyłu, myśląc, że jeszcze zdąży przed wybuchem wojny nas nie wywieźć. Ale NKWD-iści to zauważyli i rozstrzelali tych, maszynistę i jego pomocnika na oczach wszystkich. Ja tego nie widziałam, bo byłam za mała, nie dopuścili mnie do tego, ale słyszałam to z opowiadań mamusi i innych ludzi. Wieźli nas 3 miesiące.

Konrad Starczewski: I pani jechała z mamą?

Lucyna Daab: Jechałam z rodzicami. Z rodzicami, bratem i rodzeństwem – dwóch braci i siostra. I wieźli nas tak 3 miesiące. Zawieźli nas aż do Tiumeń, takie na Syberii miasto Tiumeń. Tam nas wyładowali. I to pamiętam, jak załadowali nas na takie barki, łodzie jakieś i wieźli nas na tych łodziach, zawieźli nas do miasta, nie do jakiegoś posesiołku, jakaś wieś w tajdze. I zaraz jak tylko nas tam zawieźli, to już się tam rozpoczęła zima. Zima i śnieg. Zakwaterowali nas w jakimś domu ludowym. Według ich to był dom ludowy. To był taki barak zbudowany z desek i dziurawy, same dziury w sufit, to były same deski dziurawe i ściany obite też deskami, ale z dużymi odległościami, że można było rękę wsadzić pomiędzy deskami, a mróz był 60 stopni. I po wodę kazano nam chodzić do rzeki. I do tej rzeki tam

ludzie chodzili po tą wodę. Wszystkie 70 rodzin do tego baraku wtoczyli i tam wszyscy, jak śledzie tam mieszkaliśmy, a mroź był straszny. Śniegi i mrozy. I tam tatusia, ponieważ znał języki obce, chcieli, żeby podpisał się, podpisał im, że będzie współpracował z nimi. I tak od szóstej rano przesłuchiwali go. Już musiał się stawić o szóstej rano.

Konrad Starczewski: Proszę powiedzieć, czym tato zajmował się przed wojną?

Lucyna Daab: Tatuś wykształconym był i różne stanowisko urzędnicze pełnił. I tam przesłuchiwali go do godziny 10:00. Przychodził, wychodził, coś tam mamusia zrobiła szybko, że zjadł coś tam. Nie wiem, co. W każdym bądź razie wracał o godzinie 10:00. Był tak wykończony, bo oni sobie robili przerwę na obiad, a tatusia bez obiadu, bez śniadania, bez jedzenia, więc tatuś przychodził tak wykończony. No i powiedział, że niestety w tej tajdze, w śniegach, że tylko człowiek zapadał całkowicie, głowę tylko było widać, więc tatuś przerażony był, że zginie. Po prostu zamrozimy albo wilki nas zjedzą. Więc ruszył gdzieś tam do najbliższego miasta, a to było 70 km stamtąd. Do Tobolska. Tam wynajął jakieś mieszkanie, pokój. No i wrócił do tego pieszo. I potem znowu tam tatusia przesłuchiwali, przesłuchiwali i żeby się podpisał i zgodził na współpracę. Nie zgodził się, więc zginął tam, zmarł i został tam pochowany. W tym Tobolsku. A myśmy dalej zostali tam. Mamusia nie pracowała, a pracował mój najstarszy brat.

Konrad Starczewski: Ile trwały te przesłuchania do momentu śmierci taty?

Lucyna Daab: No ze 3 tygodnie. 2 tygodnie tam w tym posiołku, w tej wsi, w tej tajdze, a potem jeszcze w tym Tobolsku. Mamusia nie pracowała w ogóle ani jednego dnia. A jak chodziła tam, żeby pozwolili wyjechać z powrotem do Polski, to mówili, żeby mówić po rosyjsku, bo oni nie rozumieją, a mamusia odpowiadała po polsku, że mamusia nie zna rosyjskiego, ponieważ nigdy tego języka nie używała, a oni się muszą nauczyć rosyjskiego, ponieważ oni muszą od mamusi pewne rzeczy się dowiedzieć, więc muszą się nauczyć polskiego, a nie tylko po rosyjsku, bo mamusia ich nie rozumie. A oni powinni wysłać nas z powrotem do domu, bo małe dzieci są, mamusia tu sama jest, do pracy nie pójdzie, bo nie ma z kim zostawić dzieci. I w związku z tym chciała, żeby wypuścili nas. Niestety nie wypuścili nas. I zostaliśmy tam. I ten najstarszy brat, który tam zaczął pracować w piekarni, to on był właściwie jedynym żywicielem, ponieważ tam chleb dawali tylko na kartki, i tam było hasło: „Jak nie rabotajesz, to i nie kuszajesz [ros.]. – „Jak nie pracujesz to i nie jesz”. Więc on dostawał kartki na chleb. A pracował w piekarni, to tam te dziewczyny się w nim kochały. Wszystkie latały za nim, te Rosjanki. Młody chłopak, to mu tam podrzucały przez płot. Jak on wychodził, to przez płot podrzucały bochenek chleba czy bułkę. Więc on przynosił to do domu. I potem, jak przyjechał Anders [gen. Władysław Anders], namawiał go do Tobolska. Namawiał go, żeby właśnie jechał razem z nim. Nie chciał jechać, ponieważ nie chciał zostawić mamusi i nas. Mówił, że małe dzieci są, rodzeństwo ma młodsze, a mamusia sama została, tatuś nie żyje. W związku z tym nie może zostawić. I został. A kiedy formowała się, tworzyła dywizja kościuszkowska, to jego zmobilizowali, zabrali do wojska. No, i był pod Lenino. Chrzest bojowy przeszedł, w tej szkole, w Riazaniu najpierw też, potem pod Lenino, i tutaj przy wyzwoleniu Warszawy 2 m od toru kolejowego na Grochowie został zabity. A myśmy tam byli, i stamtąd, ponieważ słyszałam od jednej znajomej, która też tam była, i ona opowiadała, że oni się tam zbuntowali, ci żołnierze w tym wojsku, i powiedzieli dowódcy, że nasze rodziny tam marzną, umierają z głodu, bo tam ludzie umierali, jak muchy, dosłownie z głodu umierali wszyscy. Mówi: „Nasze rodziny tam umierają z głodu, a my tu mamy walczyć? To, dlaczego mamy walczyć, jak mają wszyscy zginąć? Nasze

rodziny mają zginąć. To powinien pozwalać im wyjechać. To my też tu ginimy, i nie będziemy walczyć. To to samo. Czy tu ginąć, czy tam ginąć”. To wtedy pozwolono nam wyjechać stamtąd, z tego Tobolska, i myśmy jechali, już nie wiem, wagonami, gdzieś tam dojechaliśmy na Ukrainę, i na tej Ukrainie gdzieś nas w jakimś kołchozie zakwaterowali. I to było daleko od Kijowa, ale mamusia tam też nie poszła do pracy, też nie pracowała, powiedziała, że nie będzie pracowała, ponieważ nie ma siły i małe dzieci są. I nie będzie.

Konrad Starczewski: W którym roku to było mniej więcej?

Lucyna Daab: Tak gdzieś 1943... 1943–1944, tak mniej więcej. A zakwaterowali nas w kołchozie. Nazywał się Kaganowicz. Taki ukraiński dowódca, przywódca, Kaganowicz. I przychodziła do nas tam taka pani, mamusia poznała ją gdzieś, pani jedna, żona dyrektora kołchozu jakiegoś. I ona przychodziła, to zawsze tak delikatnie pukała do drzwi. A tam domy to były takie pokryte, zbudowane z takiej gliny, glina ze słomą, a na podłodze to była glina i położona słoma. I ta pani, jak przychodziła, to zawsze tak: „puk, puk” – pukała. Mamusia mówiła: „Proszę”. Wchodziła i tak się oglądała. Oglądała się dookoła, czy kogoś nie ma obcego. Mamusia mówi: „Nie, nikogo nie ma, proszę wchodzić”. Wchodziła i zaczynała śpiewać: „Szyroka starona maja radnaja, gdzie tak bolno dyszyt czelawiek...”, [ros.: „wielki mój kraj rodzinny] gdzie tak boleśnie...”. A słowa są takie: „Gdzie tak wolno oddycha człowiek, czyli swobodnie oddycha”. A ona śpiewała: „Gdzie tak bolno dyszyt czelawiek...”. No zawsze coś tam nam przyniosła. No, i pamiętam, myśmy tam byli na tej Ukrainie, rok w tym kołchozie, a oni uroczyscie obchodzą...

Konrad Starczewski: Dokładnie nie pamięta pani, gdzie to było?

Lucyna Daab: Kaganowicz, kołchoz Kaganowicz. Imienia Kaganowicza. I on, pamiętam też, że myśmy tam... Ani szkoły nie było, ani nic. Przede mną to była taka lepianka, i tak: matka miała 3 synów, a ojciec tych chłopaków, czyli mąż, na wojnie był, na froncie, i te dzieci nie miały kompletnie nic, tylko słoma, i one na golasa siedziały tam w tym barbogiu. A ubikacja to była tak no, ze 100 m od domu. Śniegiem zasypane, mróz, a oni tylko mieli 3 koce, bo tymi kocami się odkrywali, i w tych kocach siedzieli, spali, a w mieszkaniu to chodzili bez koców, a jak wychodziliście na ten mróz, okrywali się kocami i maszerowali. Mamusia mówi: „O, już prawie idą!”. Bo tak, tu okryta głowa kocem, ale ogon ciągnie się, ten koc z tyłu. I boso do ubikacji maszerowali w trójkę, potem wracali. „Prawie już wychodzą”. No, w każdym bądź razie oni uroczyscie obchodzą Nowy Rok. A ponieważ myśmy, jak byli w Tobolsku, to właśnie ten Władysław Eymont, nauczyciel z Wilna, z żoną był wywieziony tam, żona siedziała w więzieniu, a syn jego, syn jego – Wiesław, gdzieś był, jako szesnastoletni chłopak, gdzieś był oddany... Też go oderwali od rodziców. I w jakimś kołchozie. I potem ten... I ta chyba matka, czyli żona kierownika tego zmarła w tym więzieniu. Nie jestem pewna, ale coś tak chyba słyszałam. I potem ten kierownik zorganizował tą szkołę dla polskich dzieci, dom dziecka i szkołę. Ja też byłam w tym domu dziecka, bo byłam umierająca już. W każdym razie w szkole piękny zorganizował chór, te dzieci uczył piosenek takich patriotycznych, polskich. Potem była taka pani Halina Jabłonowska z Warszawy, z opery Warszawskiej, to ona balet prowadziła, i te dzieci nasze polskie... To chór, śpiewały, na wszystkich uroczystościach występował polski chór i balet. Więc ruscy byli tam zachwyceni, że im tak uświetniali te różne uroczystości. I w tym kołchozie, jak byliśmy w Kaganowiczu tym, to na Nowy Rok mamusia zorganizowała: „Tak, musimy pójść i złożyć dyrektorowi życzenia noworoczne, dyrektorowi kołchozu tego. No bo będzie łaskawszy może dla nas, może nas

szybciej wypuści stamtąd”. Mamusia wciąż chodziła: „Po co trzymacie nas tutaj? Tylko wam przeszkadzamy, musicie nam kartki dać na chleb. A jak wypuścicie nas, wyjedziemy, to już nie będzie tego problemu”. No i mówi, że: „Nie, nie może”. Ten dyrektor był taki ostry, ludzie tak się trzęśli wszyscy, każdy się bał wejść do niego. Jak wchodzili do drzwi, to mamusia mówiła: „Czy zastukać, czy zapukać, czy wejść, czy nie? Jak huknął, no to wszyscy uciekali”. Straszny, podobno zachowywał się, jak nie człowiek. W każdym bądź razie mamusia mówi: „Trzeba iść, pójść, złożyć życzenia”. A z nami jeszcze była jedna taka młoda mężatka z dwojgiem dzieci. One tak się wspierały: mamusia pilnowała jej dzieci, jak trzeba było, a ona..., przeważnie mamusia załatwiała różne sprawy, to ona już siedziała z nami, pilnowała nas. Tam się opiekowała nami. No i mamusia te dwie rodzinki zebrała, a wszystkie nasze dzieci, to śpiewające były, bo to chóru należeli wszyscy. Ładnie, poszliśmy tam, a tam bal wielki, stół zastawiony, uroczystość wielka noworoczna. Oni wszyscy tam siedzą. Zapukaliśmy, mamusia weszła i po polsku złożyła życzenia. No i ale jakoś tam wszystko zrozumieli. Dyrektor był zadowolony. A myśmy zaczęli piosenki śpiewać po polsku i rosyjskie też, bo ten kierownik szkoły uczył nas i polskie, i rosyjskie piosenki, żebyśmy tam im też zaśpiewali coś ciekawego, żeby byli zadowoleni, że nie tylko po polsku śpiewamy. No więc i po rosyjsku im tam zaśpiewaliśmy. A oni mówią: „Paliaki, kaka jito spasobnyj narod”. [ros. „Jaki to zdolny naród, jak te dzieci pięknie śpiewają!"]. No i mówią: „Proszę, zachodźcie”, czyli: „Proszę, wchodźcie”. I do stołu zaprosił nas wszystkich, a mamusia mówi: „Nie, dziękujemy, bo przeszliśmy tylko złożyć życzenia. Bardzo dziękujemy, idziemy z powrotem”. Więc on kazał żonie dać nam na drogę prowiant, ponieważ tutaj nie zjedliśmy. Dał nam bochen chleba i kawał słoniny. Mamusi mówi: „Przez tę słoninę to z tydzień mieliśmy do zupy, czy tam do czegoś. A tak, to by każdy wziął po kawałku i nic. A tak, to dostaliśmy na drogę jedzenie”. Tak że przetrzymaliśmy trochę dłużej na tym ich wikcie. Mieszkaliśmy u takiej gospodyni, która była bardzo dobra kobieta. Koło domu rosły dwa drzewa morwowe. Jedna była czerwona morwa, a druga była biała, a te owoce były tak słodkie, pyszne! I ona była na tyle inteligentna i mądra i wiedziała..., bo ona codziennie rano wychodziła do pracy, a wieczorem dopiero wracała, a jej mąż i syn na froncie. Wszystko to na wojnie było. Ona, jak wracała, to już co ona tam mogła zabrać? I ona powiedziała tak: „Z tego jednego drzewa morwowego możemy wszystko zjeść, a do tego, żeby, broń boże nie dotykać. Bo to jak syn przyjedzie i mąż też, żeby dla nich zostało”. Widziała, że jak nie pozwoli nam, to i tak wejdziemy, jakiej nie ma cały dzień, to kto to dziecko wytrzyma, żeby nie urwać jakiegoś tam owocu? No więc mądra była, bo pozwoliła nam z jednego drzewa i myśmy to drzewo całe objedliśmy, wszystkie owoce wzdłuż i wszerz. Pyszne były! Potem tam mróz... Jak były śniegi i te mrozy takie straszne, to jak nas tam zawieźli, to mój brat i siostra...

Konrad Starczewski: W Tobolsku, tak?

Lucyna Daab: Nie, to już Ukraina. Chodzili, zbierali kukurydzę, pałki kukurydzy. Zebrali tyle, że mamusia gdzieś tam kogoś wynajęła, tam kogoś prosiła, żeby zawieźć, i tam jakiś młyn, nie młyn, jakieś żarno, coś takiego, z tej kukurydzy oczyścili i zrobili mąkę. No i z tej mąki mamusia gotowała mel. I pamiętam któregoś, jeszcze jak Kuroń żył, to mówi: „A kto powie, co to jest mel? Jaki poda przepis na mel?”. A ja potem tego syna spotkałam, Macieja, mówię: „Ojciec powiedział, co to jest mel, ja mówię, przecież jadłam przez cały rok ten mel”. No, mel. To jest właśnie mąka, ta kukurydziana, rozgotowana na wodzie. I do tego jeszcze oni chodzili zbierać, te dzieciaki nasze, zbierały te czapki, bo oni nie zebrali wszystkiego z pola, czapki słonecznika. No, i całą zimę trzeba było objać, te nasiona wybierać. I też zawieźliśmy to do jakieś olejarni i tam z tego, z tego słonecznika zrobili olej. I już mamusia miała nam co dać. Bo gotowała ten mel z tej kukurydzy i dolewała troszeczkę, troszeczkę dolewała tego oleju ze słonecznika.

Konrad Starczewski: Jeśli chodzi o jakąś zastawę, naczynia?

Lucyna Daab: Nic nie było! Nie wiem, pewnie w jakichś menażkach jedliśmy, nawet nie pamiętam. Człowiek nie patrzył na to, tylko patrzył, żeby coś było do zjedzenia, żeby coś zjeść. A na czym... To to już absolutnie.

Konrad Starczewski: Wracając do czerwca 1941 roku, jakieś własne, że tak powiem, tobołki, własne przedmioty domowe...?

Lucyna Daab: Tak, wzięliśmy.

Konrad Starczewski: Co się z tym stało później?

Lucyna Daab: Wzięliśmy i potem mamusia... Mamusia po troszeczku to sprzedawała na targ, tam był taki tołkuczka, czyli taki targ. Mamusia tam jeździła i wymieniała właśnie na różne produkty. Oni przywozili, na przykład w workach mleko. W workach, było zamrożone – 60 stopni. Więc oni zamrażali w takich pojemnikach te mleko, wkładali do tych worków i przywozili do miasta i w tych workach sprzedawali te mleko, takie porcje już gotowe. I ja tam nic nie jadłam, umierałam z głodu. Byłam taka chuda, że... Koza sobie paradowała ulicą, sobie szła chodnikiem, a ja naprzeciwko biegłam, to koza była tak oburzona, że ktoś jej tam śmie na drodze stanąć, wzięła mnie na rogi i niosła. A ja przerażona. Jaka musiałam być chuda, że ta koza na tych rogach mnie utrzymała. A ja trzepałam tymi nogami, trzepałam, aż ona mnie zrzuciła i dalej sobie poszła. Tak że to chuda byłam, nędza, taka umierająca. I pamiętam, że mamusia coś tam zawsze brała coś z domu, coś tam miała, szła na ten targ i ja jeszcze młodszą siostrę miałam, to mamusia mówiła, że już przed nią nawet, bo ona, co jej tam dali, to zjadła, ja nic nie jadłam, to kubeczek mleka mi kupowała od tych ludzi, żebym jakoś wytrzymała, i potem mnie jakoś tam oddała do tego domu dziecka, żebym ja tam... Bo oni dostawali paczki zagraniczne, to nasz polski dom dziecka był. I mamusia myślała, że ja może jakoś tam ożyję trochę, ale...

Konrad Starczewski: Z rodzeństwa tylko pani tam się znalazła?

Lucyna Daab: Nie. Ja, siostra i jeszcze jedna siostra i brat. W każdym bądź razie, tam, w tym domu dziecka byłam nie za długo, ponieważ cały czas tylko siedziałam i płakałam: do domu, do mamy, do domu. I nie chciałam tam z nikim, nic, żadnych przyjaźni zawierać. I teraz się wcale nie dziwię, że te dzieci odbierane są od rodziców, bo ciężkie warunki. A jakież tam były warunki? I dziecko wolało być w domu, być z rodzicami, niż tam, chociaż tam bym dostała 3 razy lepsze jedzenie i 3 razy dziennie obiad. I pamiętam, że wtedy, jak mamusia przyszła, bo ja tylko siedziałam i płakałam, przyszła i dostała dalej tą moją niby porcję. Tam do domu dali kawałek chleba. I dawali taką konserwę. Do dziś smak pamiętam, tylko taka ryba w oliwie. Tą puszkę mamusia otworzyła, to wszyscy zjedliśmy, cała rodzinka zjadła przynajmniej. A ja tam nic ani jadłam, ani nic. Tak że jeszcze gorzej wyszło. Chorowałam, tam przeszedłam malarię. Leżałam w szpitalu. Umierały, pamiętam, dzieci jak umierały. Koło mnie jakiś chłopaczek leżał. Już patrzę – okrywają go, wynoszą. Ja nie zdałam sobie sprawy, że to umierają, tylko że wynoszą gdzieś. To się okazuje, że to wszystko

umierało. A jeszcze tam właśnie w tym Tobolsku, to w tym Kremlu, to było więzienie straszne. Więzienie. Tam, w tym więzieniu siedział właśnie ten kierownik szkoły, Władysław Eymont – naszej polskiej szkoły, co założył dom dziecka. A w jaki sposób on ożył, tam aresztowany, wywieziony, żonę do innego więzienia, jego tu w Tobolsku do więzienia, a syna gdzieś tam, jako pomocnik pastucha gdzieś tam w kołchozie pracował. W każdym bądź razie on już tam umierał, bo ani jedzenia w więzieniu, przesłuchania, wymęczony, umierający już. Więc go wynieśli. Mróz, zima. Wynieśli go za te mury Kremla i rzucili w śniegu. A szedł mój brat – z kolegą chyba szli – i on usłyszał widocznie ten kierownik, że ktoś idzie, rozmawiają po polsku, i zaczął tak jakoś jęczeć, jakieś oddawać głosy, takie swoje. Jeszcze żył. A oni się zatrzymali i mówią: „Ktoś tu, jakiś człowiek, coś słysząc?”. Podeszli i mówią, a ten odpowiada coś tam po polsku do nich. Szybko zorganizowali pomoc. Tu, tu tego, ludzie. No i zgarnęli tego człowieka i zawieźli do szpitala. W szpitalu dostał jedzenie, ciepłe warunki, wszystko. I ożył dzięki temu. On żył 95 lat, bo go odwiedziłam, na Grochowie mieszkał – już nie pamiętam ulicy, chyba przy Grochowskiej mieszkał – to odwiedziłam go tam. Jeszcze wtedy miał 95 lat. Jeszcze opowiadał, jak ten dom dziecka był likwidowany, to on te wszystkie dzieci zgarnął, i wiozł tu do Polski, jak już pozwolili wracać do Polski, on te dzieci wszystkie wiozł do Polski i mówi, że przyjechaliśmy tu, przekroczyliśmy granicę. Pytam: „No to co dzieciaki? Do Warszawy chcecie? Czy nad morze?”. „Nad morze!”. Wszystkie dzieci: „Nad morze!”. No, i tam stworzony został jakiś dom dziecka czy coś takiego, w jakichś poniemieckich budynkach. No i tam w tym domu dziecka... Mówi, że jeszcze przyjeżdżają do niego, odwiedzają od czasu do czasu. Ja mówię: „Dobrze, że pamiętają”. No tak że... Szkoła była straszna. Droga do tej szkoły może. W szkole to było bardzo dobrze, bo to byli przeważnie większości nauczyciele polscy. Ale warunki, ale warunki... Na przykład, ja nie miałam nawet czym pisać, ani nie miałam ołówka, ani nie miałam zeszytu, tylko książki ruskie były. Więc nam pozwalano pisać w książkach, ale między tymi, tak jak druk jest, prawda, o, tak jak u pana jest druk.

Konrad Starczewski: Między wierszami.

Lucyna Daab: To między tymi, to się tam pisało, nie wiem czym, jakimś tam... W każdym razie jakimś tym... Drzazgami, drzazgi takie paliło się. I potem każdy musiał zebrać sobie kilka patyczków takich.

Konrad Starczewski: A czego uczono?

Lucyna Daab: Wszystkiego, wszystko, wszystko.

Konrad Starczewski: Polski język?

Lucyna Daab: Polski. No, ja tam do pierwszej klasy zaczęłam chodzić, to ja nie wiem. Tylko do pierwszej klasy, i to jeszcze byłam za mała, ale już chodziłam i pamiętam, jak przez taki most trzeba było przejść, a ci miejscowi chłopcy, jak ja szłam do szkoły, to oni zatrzymywali mnie: „Stój! – „Dokąd idziesz?”. – „Do szkoły”. – „A po co do szkoły?”. – „Uczyć się”. – „A diengi masz?” [ros.: „Masz pieniądze”]. – „Nie mam”. – „No, to my cię pobijemy”. A ja mówię: „To ja jutro przyniosę, to ja jutro dam”. No, i tak codziennie... I: „Zapomniałam” albo coś, albo że zapomniałam – mówiłam. „Bo pobijemy”, bo chcieli mnie zawsze pobić, a ja mówię, że nie, bo już jutro wezmę, już będę pamiętała. – „No jutro, żebyś wzięła!”. Tam znowu pilnowałam, żebyś z kimś przejść, żeby już mnie nie pobili. Żuliki, tak zwani,

się nazywali żuliki. Napadali, okradali strasznie. No, ale jakoś mi się udało. Nie pobili mnie. Nie mogę powiedzieć.

Konrad Starczewski: Czyli miejscowi, tak?

Lucyna Daab: Miejscowi chłopcy, tak. Głód tam, przecież wojna, głód, przecież to wszystko umierało. Pamiętam, - jak ta gospodyni, u której byliśmy, ona czekała, że mąż przyjdzie na przepustkę czy tam coś, z wojny tej przyjedzie i zrobi wielką ucztę i z owsa zrobiła jakiś kisiel, gotowała jakiś kisiel, i ten kisiel, to musiał stać ileś czasu w jakimś tam dzbanku wielkim, w takim wielkim garze, gliniany taki wielki gar, i w tym ten kisiel się tam... No, nie wiem, co tam trzeba było, żeby on musiał stać długo. I do tego dzbanka z tym kisielem wpadło 6 takich wielkich szczurów. Boże, to był lament! Przecież ona z trudem zdobyła ten owies na ten, na ten kisiel, to miała, tam kręciła. I potem musiała to wszystko wyrzucić. No, bo co? Szczury straszne były, myszy, szczury tylko. Jeśli chodzi o ludzi, to byli bardzo..., ludzie miejscowi to byli bardzo biedni i też nic nie mieli, ale się dzielili. Czym mogli, to się dzielili. Na przykład: gdzieś 15 km od tego Tobolska, już po śmierci tatusia, mamusia poszła do jakiegoś tam kołchozu. I mówi, że: „Już jesień będzie, zima szybko, to wy nie zdążycie wykopać ziemniaków. To ja wam pomogę”. A ten dyrektor kołchozu mówi tak: „No, ale jak pomoże? Ja pieniędzy nie mam, żeby płacić”. Mamusia mówi, że nie trzeba płacić, tylko dacie nam ziemniaków trochę. No, on mówi: : Dbrze. 10 wiader chyba dla kołchozu trzeba wykopać, a jedno wiadro dla siebie”. No, i wtedy brat i siostra, brat i siostra i mamusia w trójkę tam kopali, a ja w domu siedziałam, i z młodszą siostrą jeszcze siedziałyśmy w tym Tobolsku, i on zawsze, jak już słońce miało, się ku zachodowi, mamusia, żeby więcej nakopać, to się zostawiała, a ten brat brał tam kilka kartofli na plecy i maszerował 15 km. A myśmy były zamknięte, żeby do nas nikt nie wszedł, i żebyśmy nigdzie nie poszły. To on przychodził w nocy. Palił w kuchni i gotował nam te ziemniaki w łupinach i zostawiał. I kiedy on wychodził, myśmy też nic nie widziały, tylko widziałyśmy, że ziemniaki w garnku stoją w łupinach ugotowane. Myśmy to jadły przez cały dzień. No i on raniutko wychodził, tam pomagał i w ten sposób mamusia w trójkę wykopała 200 wiader tych ziemniaków, 200 wiader, i wynajęła jakąś tam Kirgizkę, czy..., już nie pamiętam, jaką tam – Kozaczkę z koniem, i ona przywiozła te ziemniaki do nas. Mamusia pół pokoju zostawiła tak i zasypała tymi ziemniakami. A, ponieważ tam jakaś była pani Francuzka, więc mamusia ją prosiła, żeby ona uczyła – ja jeszcze byłam za mała, ale już brata i siostrę – żeby uczyła francuskiego. Więc ona przychodziła, udzielała lekcji francuskiego. I mamusia jej dawała za to talerz zupy, ale już ugotowanej z ziemniaków. Tam ta trawa była plus do tego ziemniaki. Mamusia tarła i na takiej zwykłej płycie, z tym, że wyszorowana, wymyta, łyżką kładła te tarte ziemniaki, takie placki piekła nam. No i cały czas nam starczyło, zanim tam byliśmy w tym PGR-ze, w tym Tobolsku. I pamiętam, że różne panie przychodziły i prosiły, żeby mamusia pożyczyła: „Może pani pożyczyć nam dwa kartofle?”. Mamusia każdemu dała. No, jak może pożyczyć, jak wiadomo, że nie odda? No, bo skąd weźmie te ziemniaki? Mamusia każdemu, kto przyszedł i poprosił, to każdemu dała. Mamusia była jeszcze w tych warunkach w lepszej sytuacji. Dlaczego? Dlatego, że mamusia nie poszła do pracy. Nie zgodziła się, powiedziała, że nie będzie pracować, ma dzieci i musi dzieci pilnować i nie może dać na chuliganów, na żulików – oni tam nazywają żulik – żulików nie będzie wychowywała, w związku z tym nie może, a musicie dać nam kartki. A tam było takie światło, ostre, księżyc tak zawsze świecił, że mamusia do godziny 2:00 czytała przy księżycu. I nas okradli. Taki żulik właśnie wszedł. Okno otwarte, bo to ciepło było, lato. Okno otwarte, a mamusia sobie siedziała, czytała. A on wszedł i brata marynarka wisiła czy bluza, i w kieszeni te kartki na chleb były. Zgarnął tą bluzę i z tymi kartkami, i myśmy do końca miesiąca już nie mieli chleba. Koniec. Nie dostaliśmy chleba. A potem jakoś mamusia chodziła, chodziła. Wychodziła,

że pozwolili nam wyjechać, ale pozwolili wtedy, jak ci się zbuntowali tutaj, żołnierze, wojsko dywizji kościuszkowskiej, że tam umierają, a wy nas tutaj trzymacie. My tu walczymy o wolność, a tamci nasi giną z głodu i z mrozu. A umierali, Boże... Jak jeszcze nas tam więzili, no to pamiętam, że jak umierał ktoś – dużo ludzi umierało – to zawijali w prześcieradło i z pociągu wypuszczali. Tutaj pamiętam to, co widziałam. I obok nas, w Mińsku chyba, niemieckie już samoloty latały. I tu nasz transport stoi. Obok stoją wagony z Żydami. I tu, przez te małe takie okienka, kobiety zaczęły się machać jakimiś tam białymi szmatami, że niewolnicy. A ja słyszę w pewnym momencie pisk, krzyk, pisk straszny. No, i tam ludzie patrzą, wyglądają. Bomby puścili na ten wagon żydowski. I tak to było. A potem z Kagonowicza, z tego kołchozu, mamusia jakoś tam jeździła do tego Kijowa, żeby nam pozwolili wyjechać. I ten dyrektor powiedział tak: „Możecie jechać, ale zabierajcie ze sobą tych jęwejów”. Bo była rodzina żydowska tam i taka moja koleżanka Żydóweczka. Myśmy się bawiły zawsze razem. To ona przychodziła i śpiewała tak: „W dużym garnku, na swobodzie, tańcowały kluski w wodzie, tańcowały, tańcowały, aż się wnet ugotowały”. I tak wspominała sobie. A jej ojciec, z głodu, z głodu, był tak spuchnięty, że on w ogóle nie chodził już, leżał. A ta matka, to nie wiem. Też chyba coś tam. Ona chyba pracowała w tym kołchozie. W każdym bądź razie coś tam co nieco przynosiła. Ta Salcia, jak miała parę jakichś tam ziarenek, to przychodziła, i tak jadła cały dzień. I miała to wydzielone, że to musi je starczyć na obiad, na śniadanie. Dzieliła sobie na porcyjki te ziarenka, co matka przywiozła z pola. Tam coś robiła. To przynosiła to i jadła bidna. Głód. No, i tych Żydów mamusia zabrała ze sobą. Dobrze, powiedziała, dobrze. No, i załadowali naszą ciężarówkę.

Konrad Starczewski: Jak się nazywała ta rodzina?

Lucyna Daab: Nie wiem, nie wiem. Ta mała dziewczynka, to chyba Salcia była, ale nie wiem. I potem myśmy jechali z nimi chyba do Kijowa, tym takim ciężarowym samochodem, a dalej to już nie wiem, jak tam.

Konrad Starczewski: Już z tego Kaganowicza samochodem, nie pociągiem, tak?

Lucyna Daab: Nie tam nie, bo to wieś kołchoz, i tam ciężarówką nas dowieźli do Kijowa.

Konrad Starczewski: Czyli to była indywidualna, znaczy, inicjatywa mamy?

Lucyna Daab: Tak, to chodziła, jeździła tam.

Konrad Starczewski: To nie była jakaś zorganizowana akcja?

Lucyna Daab: Nie, nie, to, po prostu mamusia załatwiła to wszystko. A jeszcze, wracając do tego, jak ta pani przychodziła – żona dyrektora tego kołchozu – to ona mamusi opowiadała, a potem, ja kiedyś film na ten temat zobaczyłam, że wszystko się sprawdzało, jak właśnie oni organizowali tam, władza radziecka w Kijowie, znaczy, na Ukrainie, organizowała kołchozy, to podobno najpierw obłożyli takimi podatkami, że ludzie nie byli w stanie wypłacić. Potem zabierali im wszystko, co tam oni mieli: konie, krowy, cały dobytek, to zabierali. Potem do tego doprowadzili, że głód był taki straszny, że oni na przykład podsłuchiwali przede wszystkim, co mówią, co tego, tylko oni mówią „szpiony”, czyli szpiegów, tych różnych takich pełno było. I rano, i wieczorem furmanka jechała i zabierali. Wchodzili do domu,

na przykład, ludzie jeszcze kawałek chleba gdzieś tam schowali, to zabierali nawet ten kawałek chleba, wszystko, żeby umierali. Rano i wieczorem szła furmanka przez wieś i wszystkich już zabierali, wywozili. Zawieźli, tam wyrzucali i ziemię tylko przykrywali. Tak że jeszcze czasem niektórzy jeszcze byli żywi. – „Przecież on żyje! Gdzie zabieracie? No, jak to? Przecież jeszcze żyje”. – „A tam teraz, a potem wieczorem trzeba będzie wozić, to już teraz niech idzie”. Podobno ziemia się tak unosiła, bo jeszcze żywych tam wyrzucali, razem z tymi zmarłymi, do tych jam za wsią, za tym kołchozem i przykrywali ziemią. W ten sposób właśnie organizowali kołchoz, bo tam przedtem były prywatne te gospodarstwa. I ona dlatego ona tak śpiewała: „Gdzie tak bolno dyszyt czeławiek...”. No, i potem z tego Kijowa wieźli nas do Lwowa pociągami.

Konrad Starczewski: To już jest rok?

Lucyna Daab: Gdzieś 1944–1945. W 1946 wróciliśmy. Tak gdzieś tak 1944–1945, pewnie już tak. Wieźli nas cały transport jakiś, nie wiem, tam, dołączyli nas gdzieś tam do innych wagonów, w każdym bądź razie też bydlęcym takim jechaliśmy. i tam inne jeszcze rodziny jechały. W Kijowie już dołączyli. I nas tam wieźli, zatrzymywali się na jakieś postoje, to tam były sady, ogrody, to ludzie tam wychodzili, przynajmniej tych jabłek, czy czegoś tam urwać, coś tam zjeść, żeby do jedzenia. No, to ci Ukraińcy walili kamieniami, a myśmy mieli te, jak drzwi są w tym towarowym takie rozsuwane, wielkie, myśmy byli tu na wprost tych drzwi. Leżeliśmy, i spaliśmy, i siedzieliśmy. Jak oni walili w uciekających tych ludzi kamieniami, to mnie dali tak też, że ja mam do dzisiaj dziurę w głowie. Rozbili mi pół czaszki, no ale jakoś przeżyłam. Przeżyłam malarię, przeżyłam rozbitą głowę. Teraz tylko zostały następstwa, bóle różne takie. W każdym bądź razie dojechaliśmy do Lwowa i we Lwowie wyładowali nas i myśmy siedzieli na ulicy przez miesiąc, we Lwowie.

Konrad Starczewski: Wasza rodzina i tamta?

Lucyna Daab: I tamta, tak. Mamusia, jak chodziła, załatwiała, to ona już z nami tu siedziała.

Konrad Starczewski: To było dużo osób?

Lucyna Daab: No tam 3 osoby. No i myśmy tak na ulicy koczowali. Okradli nas tam. Coraz to przychodzili złodzieje jacyś i coś tam w nocy podkradali, zabierali. W końcu... A jeszcze tam były rządy polskie. Jeszcze Polacy byli, bo jeszcze nie wysiedlili wszystkich, i Polaków tam dużo było. I pamiętam, że mamusia poszła – mamusia z tą panią chyba poszła – nie, tamta pani poszła z moją siostrą, a mamusia z nami tutaj, bo mamusia znowu coś miała, jakoś nogę przebitą czymś, już nie wiem, w każdym razie w szpitalu leżała, operowaną miała nogę, i siostra poszła z tą panią, do zawiadowcy w stacji: „Kiedy nas wywożą, bo przecież nas to okradają, zamordują?”, i tak dalej, bo przecież ci Ukraińcy mordowali tam. Jak tam jakaś pani opowiadała, że Ukraińcy postępowali tak strasznie z Polakami, że małe dziecko, jak szło ulicą, to chwyтали, rozrywali, wrzucali do parowozów. No i tak człowiek się takich różnych rzeczy nasłucha, to przecież jak można było tam siedzieć na tej ulicy? Pod gołym niebem dzień i noc. I potem ta pani... Aha, i zanim one poszły tam, do tego zawiadowcy stacji, kiedy wreszcie dadzą nam jakiś kąt, żebyśmy w pociągu, żeby można było wyjechać, a za nimi jacyś Ukraińcy tam. One się bały, że ich zgwałcą albo coś, bo przecież to dzicz taka leciała za nimi, one uciekały i jak wpadły tam do tego zawiadowcy, – to był Polak podobno – to w ogóle mówić nie

mogły, nieprzytomne były, więc ten się przeraził i zaczął dzwonić, i mówi: „Ja nie chcę, tutaj są dwie rodziny z małymi dziećmi, ja nie chcę odpowiadać za życie tych dzieci. Natychmiast dawać wagon, pociąg jakiś tam, coś takiego, pierwszy lepszy, który będzie jechał, żeby ich tam załadować. Już niech jadą stąd. Pod gołym niebem koczują”. No, i rzeczywiście one zdążyły i mówią: „Idźcie szybko, już zbierajcie się”. Już zdążyły przylecieć, już wagon był postawiony. Załadowali nas do tego wagonu, i ze Lwowa jechaliśmy do Krakowa. Miesiąc we Lwowie, następnym miesiącem przyjeżdżamy do Krakowa. No, już w Polsce, bo to już należy do Polski, bo Lwów już był do ruskich, do Ukraińców. Związek Radziecki. I stamtąd... W Krakowie też byliśmy gdzieś, ale gdzieś już nas tam jakoś ulokowali w jakimś, już nie pamiętam gdzie, ale w każdym razie w jakimś pomieszczeniu byliśmy i pamiętam, że brat chodził do jakiegoś szpitala i tam, jak oni gotowali tym chorym jedzenie, to tam zawsze jakiś talerz, dwa czy trzy tej zupy dali nam i w jakimś dzbanku i przynosił to. To właśnie w ten sposób. Jakoś tam przeżyliśmy.

Konrad Starczewski: W Krakowie w którym roku?

Lucyna Daab: To już był 1946. Tak, 1946. I potem z Krakowa znowu, zanim tam doczekaliśmy się, to przyjechaliśmy do Warszawy. I wyładowali nas na dworcu głównym. No, i potem już trzeba było na własny koszt jakoś tam się. Ponieważ mieliśmy rodzinę w Warszawie, to już tam jakoś było. A brat właśnie zawiadomił tę rodzinę w Warszawie, że tatuś nie żyje, że mamusia tam jeszcze jest z dziećmi małymi.

Konrad Starczewski: A co to za rodzina była? Od mamy strony?

Lucyna Daab: Nie, z tatusia strony.

Konrad Starczewski: Jakieś rodzeństwo jego?

Lucyna Daab: Nie, to dalsza rodzina.

Konrad Starczewski: To mama pani wiedziała, że oni tam są, mogą być?

Lucyna Daab: Tak. I on był, też wiedział, że ten, co zabity. Starszy był, to wiedział. No, i przyjechaliśmy. I tak zostaliśmy. W nowym miejscu jak przyjechaliśmy, to był głód, nie wiadomo, od czego było zacząć. Ludzie z litości nam przynosili jedzenie. W każdym bądź razie znajomych różnych mieliśmy wszędzie wokół, to nawet w kościele. Podobno mamusia mówiła, że ludzie w kościele na Wielkanoc czy na Boże Narodzenie nie wychodzili z kościoła, bo uważali, że mamusia może będzie przemawiać do nich tam. Mamusia się śmiała, że będzie w kościele przemawiała do ludzi. No, bo byli rodzice bardzo szanowani, znani byli. Tak oczekiwali ludzie. No, pomagali nam ludzie przez dłuższy czas.

Konrad Starczewski: A mieszkaliście gdzie?

Lucyna Daab: Mieszkaliśmy już w takiej miejscowości pod Białymszkiem.

Konrad Starczewski: To znaczy, chodzi mi w Warszawie konkretnie.

Lucyna Daab: Tutaj to mieszkaliśmy, tak... W jakimś domu takim, w tym, co został jeszcze.

Konrad Starczewski: Ulicy nie pamięta pani czy dzielnicy?

Lucyna Daab: Nie, za mała byłam. A tam, gdzie przedtem mieszkaliśmy, jeszcze skąd nas wywozili, to tam ksiądz proboszcz właśnie załatwił przechowalnię dla Żydów, i tam była przechowywana rodzina żydowska. Nazwisko Jurczak. I tam była kobieta i dwoje dzieci.

Konrad Starczewski: Jurczak, tak?

Lucyna Daab: Tak, nazwisko Jurczak.

Konrad Starczewski: A w jakiej to było miejscowości?

Lucyna Daab: To były Ignatki pod Białymstokiem. I ta pani potem przychodziła tam do nas. Pani Jurczakowa. Już oboje nie żyją. Ale ten syn, nie wiem, czy żyje, czy nie żyje, w każdym razie on pracował w Białymstoku, a córka wyszła za mąż. Tutaj mieszkała przy Konopackiej, wyszła za mąż, tu w Warszawie.

Konrad Starczewski: A ten ksiądz, jak się nazywał?

Lucyna Daab: A ksiądz się nazywał – ksiądz Zalewski.

Konrad Starczewski: Przez „W”?

Lucyna Daab: Zalewski. Tak, ksiądz Zalewski. Także księża, właśnie dużo pomogli i uratowali Żydów. Całą rodzinę przechowali.

Konrad Starczewski: Matkę z dwiema córkami, tak?

Lucyna Daab: Matkę z dwojgiem dzieci: syn i córka. I o tym chyba nikt nawet nie wie. Bo kiedyś ktoś przysłał z Uniwersytetu Warszawskiego coś tam o Żydach, się wybierałam pójść, żeby przekazać właśnie to, bo to w końcu ratowani zostali i przeżyli. Dzięki, dzięki właśnie... – Pomocy tego księdza. – Tak, tak, tak.

Konrad Starczewski: Proszę powiedzieć, jeszcze w czasie pobytu tam na wschodzie, czy ma jakieś na przykład pani wspomnienia związane ze świętami, religijnymi, na przykład Boże Narodzenie, Wielkanoc?

Lucyna Daab: Boże Narodzenie to obchodziliśmy, obchodziliśmy Boże Narodzenie w domu, w swojej rodzinie. Znaczą, mamusia i rodzeństwo. No i tradycyjnie. To znaczą, jedzenie, to było takie, że placki były pieczone, mamusia te ziemniaki, co ukopała, nazbierała tych ziemniaków, to potem, jak obierała do zupy, to łupiny myła i suszyła. Ziemniaki, myła, potem obierała i ładnie suszyła na płycie, i potem jak to posuszyła, to właśnie kręciła to jakoś – nie wiem, czym – te łupiny, rozrabiła z wodą i na płycie piekła. No, i to były takie właśnie opłatki nasze. Więcej nic nie było, ani cukru, ani mąki, nic nie było. To były takie podstawowe. Ale tradycja była zawsze i życzenia świąteczne. Tradycja była zawsze zachowana, z tym, że już na Wielkanoc w Kaganowiczu, tym na Ukrainie, to już tamta gospodyni, ta żona dyrektora, to przyniosła tam parę jajek. To już tak tradycyjnie. Natomiast tam, to tam nic nie było. Głód, wszyscy głodni. Wszystkie dzieci wygłodzone były takie. Jak mnie koza wniosła, to już może sobie wyobrazić Dziecko, żeby wzięła. Straszne były warunki.

Konrad Starczewski: Skrajne, tak?

Lucyna Daab: To w ogóle nie były warunki do życia. Ja przeleżałam w szpitalu tylko. Ja, co przyszłam do domu, to z powrotem do szpitala. Albo w domu dziecka, albo w szpitalu. Malarię przeszedłam tam. Że żyję, to w ogóle nie wiem. Podziwiam, że przeżyłam to wszystko. Mamusia była bardzo wierząca, bardzo wierząca, i zawsze, codziennie, tylko... Zresztą mamusia powiedziała, że przeżyliśmy tylko w modlitwie, w opatrzności Bożej, i to, że jakoś wróciliśmy, to trzeba zawdzięczać to Panu Bogu, bo Bóg czuwał nad nami.

Konrad Starczewski: Czyli ta wiara była takim silnym czynnikiem?

Lucyna Daab: Bardzo! Podtrzymującym, jakoś tak ducha dodającym, życia tych ludzi. Jeszcze, jak myśmy tam byli, na początku, to byli księża polscy, było dwóch księży, a potem tych księży zabrali z powrotem. Jeden to poszedł z Andersem, a drugi to chyba wyjechał, jakaś była inna możliwość. A najlepsze to była taka sytuacja, bo tu w Warszawie jedną panią tam kiedyś spotkałam, to znaczą, oni byli razem z nami. Ja do niej pojechałam, dowiedzieć się, co tam, jak ona się czuje. Więc ona opowiadała, że ona z rodzicami wywieziona została – ona, jej siostra i rodzice – wywieziona została. Też tym samym transportem jechaliśmy, co oni. Miała narzeczonego lotnika. I w tym czasie ten lotnik miał jakąś chwilę wolną, czy jakiś tam urlop wziął, czy coś. Przyjechał do nich, odwiedzić ją. I śpią wszyscy. Pukanie, stukanie, walenie – wywózka wywożą. No więc... Ale oni sprawdzają: kto tu jest? No to matka, ojciec, jedna córka, druga córka. To kto? Obcy człowiek? On mówi, że on tu jest też jak członek rodziny. – Jak to? Jaki członek rodziny? No, mówi: tu przyjechałem odwiedzić, to jest moja narzeczona. – Nie, nie weźmiemy. Bo jak nie ma na liście, to nie biorą. A on mówi: ja jadę razem. – No, to jak chcesz, to jedź. I on z tą żoną został... Przecież on samolotem latał, mógł zostać i wrócić do wojska, prawda? A on z tą swoją narzeczoną wyjechał. I stamtąd, chyba z Andersem on wyjechał, że może ich ściągnie tam do siebie. No, niestety nie mógł ściągnąć, on tam osiadł w Londynie. A ona wróciła do kraju, ona już nie wyszła za mąż. On chyba tam się w Londynie ożenił. Ona już tak została tutaj. No, ale poświęcił się dla narzeczonej. Pojechał na Syberię. To wszyscy dziwili się, co to za miłość? A ci Rosjanie mówili: „No, durak, kaku durak” [ros.: „Głupi, ale głupi”], że został.

Konrad Starczewski: Proszę powiedzieć, czy w trakcie tego pobytu pięcioletniego jakieś kontakty

w ogóle z rodziną w Polsce, jakieś listy, paczki?

Lucyna Daab: Nic, ani paczki, ani listy, nie dochodziło, nic nie otrzymywaliśmy, nic w ogóle. Bez wieści żadnych, nic nie było, bez kontaktu. – Tylko dopiero później

Konrad Starczewski: Pani jeszcze przed nagraniem mówiła – że brat wysłał?

Lucyna Daab: A to tu już, jak był tu pod Warszawą.

Konrad Starczewski: A wy byliście wtedy panie?

Lucyna Daab: A my na Ukrainie wtedy. Na Ukrainie, czy jeszcze w Tobolsku? Albo już na Ukrainie byliśmy, albo w Tobolsku. Już nie wiem, nie pamiętam dokładnie. W każdym razie, jak nas wywozili, jak nas wieźli tą ciężarówką, to u nas kiedyś taka była gosposia i ona się dowiedziała, że wywożą ludzi, więc ona biegła do nas, żeby nas uprzedzić, że wywożą, żebyśmy się gdzieś tam ulotnili. A mamusia zobaczyła, że ona wiezie, i ona tak zaczęła płakać, ryczeć. A mamusia mówi: „Sabina nie płacze. Polska jeszcze nie zginęła, dopóki my żyjemy”. A ten Rosjanin NKWD-dzista mówi: „Polsza propała na wiegda” [ros.: „Polska przepadła na zawsze].